Paweł Truskolaski

Pamiętnik zawierający szczegóły długiego życia (fragment)

Dawniej rzadko kto w tamtych stronach chodził w kupczych ubraniach do roboty, paltach, w burkach i tym podobnych. Wszyscy nosili samodziały, które były mocne, praktyczne i dobre. Szczególnie były modne sukmany, tak zwane kapotki, zamiast marynarek, obszyte dookoła czarną tasiemką. Matka moja przodowała w tych wyrobach i służyła pomocą sąsiadkom, umiała ręcznie dobrze i ładnie szyć koszulę i różną inną bieliznę, a także i ubrania zwykłe robocze dla męża i dzieci. Tej wszystkiej pracy, jaką sama umiała, oprócz przędzenia, czyli przygotowania własnej przędzy na wyrób samodziałów i różnych robót gospodarskich, domowych i rolnych, także i dobrego gotowania smacznych potraw, pieczenia dobrego chleba, i innych ciast na święta – nauczyła w takiej doskonałości swoją jedyną najstarszą z dzieci córkę Józefę, która od młodych dziecięcych lat już przędła obok matki na kołowrotku, tak zwanym kółku, różne za wzorem matki[1] przędze i stopniowo przejmowała zdolności do wyrobu (płótna na koszule i inne) samodziałów. Była wesoła i rozmowna, zawsze z pogodnym i uśmiechniętym obliczem, to też jak tylko zapamiętam dom nasz, choć był ubogi, szczupły, nie świecił pustkami i ponurą atmosferą, zawsze był nawiedzany przez sąsiadki i sąsiadów, oraz młodzież i dzieci, a w długie jesienne i zimowe wieczory przychodziły z szyciem koszul, a później po zakończeniu szycia, od około 1 grudnia, jak zaczynał się adwent, sąsiadki, mężatki i panny przychodziły z kołkami, a inaczej kądzielami, prząść przędzę, przędły wspólnie na wyścigi, aby więcej naprząść, zaś wieczorami przychodzili mężczyźni i chłopcy, było gwarno i wesoło, kółka warczały, czasem skrzypiały. Podczas pracy prowadzono wesołe rozmowy. [1.14] Śpiewali pieśni religijne, kolędy i inne oraz ładne różne pieśni ludowe, opowiadano o różnych przygodach, legendy i bajki.

Życie wówczas w tamtych stronach na wsi było jakby znormalizowane. Po żniwach, czyli zbiorach oziminnych, żyta i pszenicy, i jarych, owsa, jęczmienia i różnych innych

[1] Czyt. *maty*.

zasiewów, które za moich pamiętnych czasów w końcu XIX wieku odbywały się wyłącznie w sierpniu, a nie kosą lub żniwiarką jak obecnie, które to zbiory, czyli żniwa, trwały przez kilka tygodni, w zależności od pogody – od połowy lipca – Świętej Małgorzaty, do końca sierpnia. Kosili tylko trawy, groch i wykę.

Kobiety miały dużo pracy przy uprawie najważniejszego dla nich, jak na ówczesne czasy, lnu; najpierw rwanie dojrzałego, roszenie, suszenie, obijanie z nasienia kijankami, a nie cepami, moczenie, znowu suszenie, mędlenie, czyli tarcie specjalnymi cierlicami, klepanie i czesanie. Kopanie kartofli od połowy września do połowy października.

Wszelkie roboty, to jest wykopki kartofli, buraków i innych warzyw i przygotowanie do przędzy lnu musiały być zakończone do 1 listopada, czyli świąt jesiennych Wszystkich Świętych. Przędzenie przez dobrą, wzorową gospodynię, musiało być zakończone do połowy marca – Świętego Józefa, najpóźniej do pierwszego kwietnia, po czym przędzę lnianą trzeba było zolić, to jest moczyć w wodzie zmieszanej z popiołem (możliwie jałowcowym) i parzyć w gorącym piecu w ciągu jednej doby i po wypłukaniu i wysuszeniu krochmalić, znowu suszyć i zwijać na kłęby, z kłębów zwijać na snowadło, po czym nawijać na warsztat tkacki, tak zwane krosna, za tym każdą nitkę z osobna przewłoczyć przez płochę i [...] i wówczas przystąpić do tkania materiału.

Ta wszystka żmudna i pracowita robota musiała być zakończona do Zielonych Świątek, mniej więcej do 1 czerwca. Wytkane sztuki płótna trzeba było bielić, stale wynosić na rosę i słońce, moczyć i suszyć w ciągu paru tygodni, aby było ładne i dobrze białe, a mocne, bo nieskażone jakimikolwiek sztucznymi przyprawami i chimikaliami. Zwykle do jarmarku na Święty Antoni wszystkie płótna musiały być wytkane i odpowiednio wybielone, bowiem na Święty Antoni w Sokołach odbywały się z dawien dawna duże jarmarki ogólne, a szczególnie na płótno, czyli [1.15] samodziały wiejskie, lniane.

Dawniej, jak pamiętam, w końcu ubiegłego stulecia, taki jarmark przez dwa dni bywał w poniedziałki i wtorki przypadające po 13 czerwca, w poniedziałki wyłącznie na płótna, a we wtorki ogólne na wszystko i na płótna, na które gospodynie wywodziły i sprzedawały swoje wyroby i nadwyżki wytkane specjalnie na sprzedaż. Kupcy przyjeżdżali z różnych stron Polski i z Rosji i wszystkie wyroby wykupili, a pracowite gospodynie dobrze się miały. Len poza żytem, pszenicą i kartoflami stanowił w każdym gospodarstwie dla kobiet najważniejszy przedmiot plonów rolnych i w którym len licho się urodził, było niewesoło.

Aby podołać tej mozolnej pracy przy uprawie lnu i za tym jak najwięcej naprząść i wyrobić samodziały na czas, gospodynie i ich córki nie miały czasu na próżne pogawędki i plotki, musiały wstawać w zimowej porze dobrze rano po drugim lub trzecim pianiu kogutów,

na parę godzin przed świtem, bo zegarów wówczas na wsi nie było. Wieśniacy uważali czas po pianiu kogutów lub przy pogodnej nocy po gwiazdach, zaś latem wstawali o wschodzie słońca.

W jesieni i zimą przędli, szyli i wszelkie inne prace wykonywali przy marnym świetle, świeczkach łojowych, później naftowych kopciuszkach, bo lamp naftowych nie było. dopiero około 1890 roku pojawiły się już lampy naftowe, była to wielka nowość, sensacja i radość, tak jak w późniejszych czasach oświetlenie elektryczne.

W takich warunkach pracowała i wszelkie roboty wykonywała moja matka, czyli oboje rodzice. Wstawszy rano w porze zimowej matka zabierała się do przędzenia, a ojciec gotował śniadanie. Zawsze rano przy rozpoczęciu pracy śpiewana była pieśń poranna „Kiedy ranne wstają zorze", później godzinki o Niepokalanym Poczęciu NMP, czasem inne godzinki i za tym inne pieśni poranne i dostosowywane do pory roku.

Przy pracy w polu, żniwnej czy też innej, matka zawsze śpiewała różne pieśni religijne, litanie i modlitwy, każda praca połączona była z modlitwą, czyli poświęcona na chwałę Bożą. Jako dobra śpiewaczka przodowała zawsze na wieczorowych nabożeństwach majowych we wsi lub pochodach z obrazem – ołtarzykiem M.B. na ograniczenia wsi, a także i na wszystkich pogrzebach we wsi, do wyprowadzenia zwłok.

Nie opuszczała nigdy nabożeństw w każdą niedzielę i święta, a [1.16] często i w dni nieświąteczne odwiedzała kościół, aby być na mszy świętej, najczęściej, kiedy była możliwość pozostawienia domu i dzieci na czyjejś opiece – spieszyła do kościoła rano na pierwszą mszę i aby śpiewać różaniec i inne ładne pieśni śpiewane zawsze w kościele od pierwszej mszy aż do sumy, a w czasie sumy i nieszporów na chórze.

W ogóle była bardzo religijna i w domu modliła się codziennie wieczorami, długo, po pracy, przed spaniem, póki nie odmówiła choć jednej części różańca, szeregu różnych modlitw, litanii i pacierzy. Całe pacierze i niektóre modlitwy musiały odmawiać codziennie rano i wieczorem wszystkie dzieci od najmłodszych lat, kiedy mogły już mówić i coś pojmować.

Była wpisana we wszystkie bractwa, jakie tylko wówczas istniały, różaniec, szkaplerze, medaliki i tym podobne oraz była w III zakonie św. Franciszka, również do Bractwa Trzeźwości, nie używała żadnych trunków, suszyła przy ścisłym poście wszystkie piątki. Odbyła trzy razy za mojej pamięci podróż pieszo do Częstochowy, pierwszy raz zupełnie pieszo z domu i z powrotem, a następne dwa razy z Warszawy z Kompanią Warszawską.

Posiadała dużo książek religijnych do nabożeństwa, różnych kategorii, dużych i mniejszych, żywoty różnych świętych, ewangelie, rozmyślania i inne, zbiory najrozmaitszych pieśni i inne książki treści religijnej. Po śmierci matki całe dwa duże kosze tych książek pozostało, około 50 egzemplarzy. Wszystkie były starannie przechowywane, oprawione

przeważnie w skórę, w stanie niezniszczonym. Niektóre z nich znajdują się u wnuczków Lucyny Kuleszowej w Wyknie koło Kulesz i u Stasi Dąbrowskiej we Wnorach, parafia Kobylin.

Oprócz doznawanych pociech i błogosławieństw owocnej pracy i wychowania dzieci, przechodziła i ciężkie cierpienia, mianowicie choroby. W roku 1889, kiedy miałem 7 lat, chorowała od wiosny aż do jesieni, z początku walczyła ze śmiercią, w drugi dzień Świąt Wielkanocnych ksiądz przyjechał w nocy, aby opatrzyć świętymi sakramentami. Było wówczas pięcioro drobnych dzieci. Najstarsza córka Józia miała lat 12, musiała już zastąpić matkę młodszemu rodzeństwu, najmłodszy miał jeden rok. Ojciec bardzo strapiony czynił starania i ratunki w miarę swych [1.17] możliwości, aby uratować życie matki pięciorga małych dzieci. Choroba z biegiem czasu przesiliła się i matka w miesiącu październiku przyszła do normalnego stanu zdrowia. W rok po tej chorobie urodził się najmłodszy synek Roman – 9 VIII 1890 roku.

Parę lat później była już stale słabego zdrowia, cierpiała na chroniczny kaszel i różne inne niedomagania, często bóle głowy, ogólną słabość itp. W pracy była wyręczana i zastępowana przez podrastającą i zdolną już do wszelkich robót córkę Józię oraz sąsiadkę z sąsiedniej wsi Truskolasy Niewisko Kruszewską, zwaną "Kusa Piotrowa", a kiedy córka w roku 1901 wyszła za mąż, w niedługim czasie miała synową, żonę najstarszego syna Franciszka, z którą żyła w bardzo dobrych stosunkach, jak z córką, a w międzyczasie przez parę lat, póki nie było synowej, była stała służąca, która była i później przy synowej.

Za tym w miesiącu listopadzie 1906 roku nagle w nocy zachorowała na paraliż ręki, a stopniowo po kilku dniach na niedowład całego ciała, choroba wzmagała się, to ulegała poprawie, także w pewnych okresach mogła chodzić i cokolwiek robić, to znowu pogarszało się i po tych długich cierpieniach w dniu 13 kwietnia 1913 roku zmarła, mając lat 64.

Była bardzo przykładna i dobra pod każdym względem, takich kobiet i matek teraz jest bardzo mało. Była świętobliwa, miała głęboką wiedzę religijną, bardzo szanowała i uwielbiała księży i zakonników jako sług bożych. Pragnęła mieć syna księdza, co jednak nie było sądzone i możliwe. Pragnienia częściowo urzeczywistniły się, bowiem wnuk został księdzem i w każdą rocznicę śmierci swej babki, odprawia mszę świętą – Marian wyświęcony 22 VI 1952 roku.

Po tak świętobliwym i dobrym życiu jak wyżej opisałem, rzeczywistą prawdę świętej pamięci moja matka zapewne jest w niebie i przyczynia się o łaski i błogosławieństwo dla swoich dzieci, z których dwóch synów jeszcze żyje, i dla licznych wnuków – 26 i prawnuków – 81.

Dawniej, jak pamiętam i dokąd byłem w domu do maja 1900 roku, był u nas i u innych wieśniaków ściśle przestrzegany Wielki Post. Od Środy Popielcowej aż do Niedzieli Wielkanocnej nie wolno było jeść nie tylko mięsa, ale i mleka, masła, jaj. Krasili strawę tylko olejem, u nas lnianym z własnego lnianego siemienia, czasem kupowali śledzie, pościli i dzieci od lat 7. Na ogół odżywiano się nieźle. Zawsze co roku utuczyli dobrze dużą świnię lub wieprza, zabijaną [1.18] zwykle w karnawale, z której duża kiełbasa, cały łeb i inne było święcone, przygotowane w większej ilości na Wielkanoc i zjadane z dużym apetytem po długim poście. Kiełbasy były dobrze zrobione i przechowywane w dobrze zamkniętym specjalnym koszu, uczepionym na strychu domu u jętki (belki stropowej), tak, że żadne robactwo ani koty nie zjadły. Jedna kiełbasa i część szynki zachowana była w zupełnie zdrowym stanie do Świąt Bożego Narodzenia. Taka była zachowana z dawna tradycja.

Słoniny lub sadła musiało starczyć do zabicia następnej tuczonej świni. Byłoby z ujmą i wstydem wobec sąsiadów kupowanie tych tłuszczów i uznane jako złe gospodarzenie. Pod koniec lata i jesienią ojciec zabijał kilka baranów własnego chowu, czasem cielaka lub prosiaka, a dwa razy kupił starą krowę na mięso za 7 rubli, a drugi raz za 9 rubli do spółki z sąsiadem.

Skóry z własnych zabijanych do zjedzenia owiec ojciec oddawał do wyprawy i szycia kożuchów, których u nas w domu było tyle, ile osób. Każdy miał swój ciepły kożuch i odpowiednie sukmany. Póki dzieci były małe zawsze do pasionki i pomocy w gospodarstwie rodzice mieli ugodzonego chłopca – służącego, o którego nie było trudno i tanio, kosztował – życie, odzianie robocze, zwykłe buty i parę rubli na cały rok.